
W Y D Z I E D Z I C Z O N E

M I R O S Ł A W A
K A R E T A

TAJEMNICE
Z
PRZESZŁOŚCI

© Wydawnictwo WAM, 2023

© Mirosława Kareta-Gala, 2023

Opieka redakcyjna: Agnieszka Ćwieliąg-Pieculewicz

Redakcja: Anna Śledzikowska

Korekta: Monika Karolczuk

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz

Zdjęcia na okładce: © Dan Thornberg/Shutterstock; KathySG/Shutterstock

Skład: Lucyna Sterczewska

Postaci i wydarzenia opisane w książce są fikcyjne.

Wszelkie podobieństwo do prawdziwych osób

lub zdarzeń jest przypadkowe lub niezamierzone

ISBN 978-83-277-3365-8

MANDO

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

tel. 12 62 93 200

www.wydawnictwomando.pl

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496

e-mail: handel@wydawnictwomando.pl

I

październik 1863

Nigdy jeszcze nie malował na skale. A już zwłaszcza tak wysoko! Rusztowanie też wydawało mu się jakieś lekkie, mało solidne. Cieśla kłął się wprawdzie na wszystkie świętości, że to dla niego nie pierwszozna, że takich samych cienkich „drzywek” używał, gdy trzeba było załatać dach w mnikowskim dworze i poprawić tynki na morawickiej dzwonnicy, że „wszycie tutok tak robio”. Malarz nie miał wyjścia, musiał mu zaufać, bo zadanie było ważne, a sprowadzenie kogoś z miasta naraziłoby wszystkich na zbyt wielkie ryzyko. Zresztą nikłą grubość drewnianych bali na pewno rekompensowała ich ilość. Wapienna ściana była nimi dosłownie opleciona, na dole zaś wzmocniono całość kamieniami, których naznosili chłopcy z grotty. Powinien czuć się bezpiecznie... Tyle że przy każdym dmuchnięciu wiatru konstrukcja trzeszczała na łączeniach, a deski drżały pod stopami. Gdy mocniej wiało, w ogóle wolał nie zaczynać pracy.

Może też przestrzeń robiła swoje. Gdyby takie rusztowanie stało na stabilnym, płaskim gruncie, a nie na zboczu, wyobrażnia by go tak nie męczyła. Tutaj jednak wystarczyło oderwać wzrok od pędzla, by doznać zawrotu głowy. Wokół niego rozpościerał się przestwór, a pod spodem przepaść. Gdyby miał skrzydła – jak kruki, jastrzębie, myszołowy czy nawet dzikie gołębie,

których było tu pełno – mógłby się pewnie rozkoszować tym widokiem. Ot, choćby w tej chwili! Lazur nieba przechodził na horyzoncie w malachit iglastego lasu, poprzecinany złotymi i purpurowymi plamami brzeziny i dębów oraz bielą wapiennych skał. Niżej bał się nawet patrzeć. Wiedział, że dno doliny wyścieła trawa w ciągle jeszcze szmaragdowym odcieniu zieleni, że środkiem płynie potok, który zależnie od pory dnia i pogody połyskuje to srebrnym, to ołowianym odbiciem nieba, tylko wyjątkowo przyjmując kolor pruskiego błękitu. Wolał tego jednak nie sprawdzać, na samą myśl o spojrzaniu w dół trzęsły się mu kolana.

Dlatego też nie od razu zauważył, że z głębi doliny nadchodzi jakaś kobieta i krzyczy:

– Hanka! Hanusia!

Drgnął i odruchowo spuścił wzrok, a potem objął kurczowo jeden z filarów rusztowania i zamknął oczy. Znał Hanusię, a jakże, wszyscy ją tu znali. Mieszkała w chałupie w Skalkach, na drugim końcu wąwozu. Śliczna była jak z obrazka! Ciemne włosy, oczy jak węgle, jasna karnacja, która po upalnym lecie przybrała piękny złoty kolor... Tak po prawdzie, to Matka Boska, którą malował, miała coś z jej rysów. Od tygodnia starał się w swoim obrazie oddać tę młodość i świeżość, jakimi Hanusia teraz aż tryskała, ale co tylko Maryja, jedyna ze wszystkich kobiet Ziemi, zachowała na zawsze, na całą wieczność.

Dochodzące z dołu uporczywe nawoływanie całkiem wytrąciło go z równowagi. „Czemu jej strażę nie odprawia?”, pomyślał zniecierpliwiony.

W tej chwili z grotu wyszło dwóch brodatych mężczyzn w czarnych spiętych skórzanymi pasami.

– Pochwalony!
– Na wieki wieków!
– Czemu tak krzyczycie?
– Córki sukom. Nie widzieliście, wielmożni panowie, moi Hanusi?

– Nie.
– Nie? Chliyb lo wasych żołniyrzy niesło, jak co tydziyń...
– Może i przyniosła, my tam nie wiemy. Wracajcie lepiej do domu!

– Kiej jo ze strazo godoło! Chliyby wzieny, a jo puścili jaze tutok. Pedzieli, ze chcioło użryć, jak pon pracujo!

Artysta wiedział, że już nic nie namaluje, wiatr też się wzmagął, więc odłożył w końcu pędzel i farby, wytarł dłonie w gałganek i powoli, niepewnie, zaczął złączyć z rusztowania.

– A nie widzieli pon tutok moi Hanusi? – przypadła do niego, gdy tylko się znalazł na ziemi.

Nie widział, ale słyszał, już ze dwie godziny temu. Rozejrzał się, szukając swego pomocnika, ale i jego nigdzie nie było. Zerknął na żołnierzy, jeden z nich ostrzegawczo zmarszczył brew.

– Nie widziałem. – Rozłożył ręce ciągle jeszcze poplamione farbą. – Od rana tu na wysokości stoję i wizerunek Najświętszej Paniunki kończę. Nawet w dół nie patrzę.

Teraz jednak patrzył na matkę Hanusi, i to z uwagą. Mogła mieć trzydzieści kilka, góra czterdzieści lat, jej uroda już mocno dojrzała, ale jeszcze nie przekwitła. Włosy wymykające się spod chustki były gęste, bez jednej siwej nitki, twarz ogorzała, ciemniejsza niż u córki... Ale za to oczy! W jej oczach palił się ogień. Zdawało mu się, że go przepala na wylot tym swoim spojrzeniem.

– Ha! Siła nam Hanka w chałpie godo o tym łobrazie. Dziyń za dniem dzioucha tutok mitrynzy, ino sie gapi, jak pon malujom, a robota w polu ceko...

Sama też w końcu spojrziała w górę, gdzie na wapiennej skale powstawało malowidło. Za płataniną cieńszych drążków i grubszych belek prześwitywał biało-niebieski kraj sukni Maryi i zarys obłoku, na którym się unosiła. Od wielu dni ludzie z obozu, ze wsi i z dworu próbowali coś podpatrzeć, ale na próżno. No i dobrze! Młody twórca ciągle nie był zadowolony, nadal jeszcze nie udało mu się zrealizować swej wizji tak, jakby tego pragnął. Może to była wina podłoża, na którym nigdy wcześniej nie pracował, może kwestia potężnych rozmiarów wizerunku? Ale nie! W głębi ducha wiedział, że brakuje mu czegoś innego, nienazwanego, co by nadało przedstawionej postaci ten wyjątkowy, nieziemski charakter...

Jak ma wyglądać twarz Matki Boskiej? Nie chodziło mu o rysy, te mógł zapożyczyć od którejś z zapamiętanych piękności krakowskich, monachijskich, rzymskich czy paryskich, ba! także od którejś z pięknych kobiet w Ziemi Świętej, gdzie spędził osiem miesięcy. Nie chodziło o kształt, ale o wyraz. O to, co się kryło pod spodem, o to wewnętrzne piękno, którym kto jak kto, ale Najświętsza Pannienka musiała przecież promieniować!

Matka Hanusi nagle głośno wciągnęła powietrze. Podeszła do podwaliny rusztowania i spomiędzy kamieni wyciągnęła białą płócienną chustkę.

– Ło! – Oskarżycielsko wyciągnęła rękę w stronę mężczyzn. – Tos to przecie ji łoktusa! Znacy, było tutok mojo Hanka! Było dzisiok!

Na bladą twarz artysty wypełził rumieniec.

– Może i była – powiedział wreszcie. – Przychodzi co dzień.
Może i dziś była.

Matka dziewczyny zawrzała gniewem.

– I kaj óna teros jes?!

To było jednak coś więcej niż gniew. To była rozpacz, desperacja. Malarzowi nagle zrobiło się jej żal. Jak miał jej to wytłumaczyć? Już od jakiegoś czasu trwała akcja przetrzucania wyszkolonych ochotników do Królestwa. Potrzebowali kamuflażu, bo całe pogranicze aż się roiło od austriackich patroli i szpiegów. A któż łacniej może odciągnąć uwagę żołdaków niż młoda piękna dziewczyna?

– Posłuchajcie, ona... rzeczywiście tu była – zaczął ugodowo. – Przyniosła te chleby, a potem ją dowódca poprosił...

– Ty, Izraelita! – rzucił groźnie jeden z żołnierzy, ale już było za późno.

– Dowódca poprosił? – Kobieta nie od razu zrozumiała, ale gdy to się stało, zaczęła na cały głos płakać i biadolić, miętosząc w dłoniach znaną chustkę.

Mężczyźni spojrzeli po sobie niepewnie.

– Posłuchajcie, czego się tu frasować? – Malarz wykonał rękami szeroki gest, obejmując nim i wizerunek Matki Boskiej, i obóz powstańczy, i dwór, i wieś. – Tu się dzieją wielkie rzeczy! Większe niż wy, większe niż my...

– I większe niż wasza Hanusia! – wtrącił szybko żołnierz.

– Mojo Hanusia? A cóś óna ma z tym wszyćkim spólnego? – Głos wieśniaczki łamał się. Tuliła do piersi chustkę, jakby to była głowa jej dziecka.

– Każdy z nas, nawet wasza Hanusia, ma teraz do odegrania swoją rolę...

– Moja Hanusia? Ma coś do łodegranio? Óna może ino panom chliyba przynieś, jak my w chałpie upiekom, i tyle!

– Niechby tylko i to! My, wy, wasza Hanusia... To przecie jeden naród!

– Naród?

– Naród! – zaczęli jej tłumaczyć jeden przez drugiego. – Wspólnota ludzi, którzy żyją na tej samej ziemi i mówią jednym językiem...

– Ale coś ten naród mo do moji Hanki?

– To, że teraz idzie o nas wszystkich, o naszą wspólną przyszłość! Co dla was ważniejsze? Wasza córka czy wspólna sprawa?

– Córka!

– Kobieto, nic nie pojmujecie! – zniecierpliwił się żołnierz. – Wreszcie jesteśmy razem! My i wy! Idziemy razem w bój pod jednym sztandarem! Pod Jej przewodem!

Wskazał na skałę, gdzie niewidoczna jeszcze dla postronnych niewiasta z koroną cierniową w dłoni deptała głowę węża.

– A! Jak pod Ji przewodem, to co inksego...

Wieśniaczka uspokoiła się powoli, zamyśliła, patrząc w górę w nabożnym skupieniu.

– Każdy w planach Pana Boga ma jakąś rolę! – dokończył żołnierz z przekonaniem. – Nawet Hanka!

Kobieta, nie wypuszczając chustki z rąk, osunęła się nagle na kolana przed niedokończonym malowidłem. Po jej ogorzałych policzkach ciekły łzy.

– A cegós to Pon Bóg chco łod moji Hanki?

Artysta nie mógł od niej wzroku oderwać. Dalibóg, dla tej sceny było warto zleźć z wysokości! Wcześniej tylko czytał o tym w Biblii, teraz zobaczył na własne oczy. Dostrzegł u tej wieśniaczki

gotowość poddania się woli Boga, jakakolwiek by ona była, więcej, dostrzegł zdolność do oddania Bogu najdroższej sobie istoty, własnego dziecka...

Zapłakana matka w końcu wstała i bez pożegnania zaczęła schodzić w dolinę. Patrząc na jej plecy okryte kraciastą chustą, poczuł wyrzuty sumienia, ale szybko je od siebie odsunął. „Bóg mi ją zesłał”, pomyślał.

Choć dochodziła pora posiłku, bez słowa zaczął się wspinać na rusztowanie. Nie bał się w tej chwili wiatru ani wysokości, nie w głowie mu było jedzenie. Lękał się tylko, że może zapomnieć, co zobaczył przed chwilą w oczach tej kobiety. Wiedział już, jaki wyraz twarzy będzie miała jego Matka Boska.



Ciocia Józia była zwykłą wiejską dziewczyną. W pewnym sensie pozostała nią do końca życia i choć wiele lat spędziła w mieście, na starość powróciła do rodzinnego Mnikowa. Do dziś pamiętam, z jakim zaangażowaniem wysiewała ziarno, rozrzucała widłami gnój na zaorane skiby i pielili równo wydzielone grządki warzyw. Widzę jej twarz, mimo słomkowego kapelusza już opaloną pierwszymi promieniami wiosennego słońca, posiwiałe włosy, które rozwiewa wiatr, i słyszę śmiech, jakim witała nagłą majową ulewę. Wieś i praca na roli dawały jej radość, z nich czerpała siły i energię do zmagania z codziennością. Ta zaś nigdy nie była dla niej łatwa i nie wiem, jakim cudem udało się jej zachować aż do późnej starości taki spokój i taką pogodę ducha.

Odziedzyczyłam po niej malowaną w kwiaty skrzynię posagową. Była żółta, nie zielona, jak większość skrzyń krakowskich, lecz

z biegiem czasu farba wyblakła i złuszczyła się, tak że trudno już dziś rozpoznać kolory. Wypełniały ją kalendarze i zeszyty, które Józia prowadziła przez długie lata, wycinki z prasy i odręczne notatki, książki i artykuły. Dotyczyły osób, które wpłynęły na jej życie, oraz zdarzeń ważnych dla niej i jej rodzinnej wsi. Wspólnie przeglądaliśmy te kroniki, gdy opowiadała mi o przeszłości. Wiele było tam nazwisk, niegdyś głośnych, a teraz znanych tylko wąskiemu gronu pasjonatów. Ludzie ci przez całe życie zabiegali, by coś w świecie zmienić, chcieli mieć wpływ na to, jaki kształt przybierze otaczająca ich rzeczywistość. Twórczo wykorzystywali dany im czas i starali się coś po sobie pozostawić. Mimo to umierali często w samotności z gorzkim poczuciem, że wszystko poszło na marne.

Doskonale ujął to Juliusz Mien – jeden z tych, o których wspomnienie zachowało się w notatkach Józii – opisując ostatni cykl obrazów Witolda Pruszkowskiego. W tryptyku *Zaczarowane skrzydce* ów krakowski fotograf, literat i tłumacz dostrzegł alegorię twórczego życia.

Proszę sobie wystawić Janka artystę, posiadającego w pełni swoją sztukę, idącego w świat, w wieku złudzeń, gdy się nie wątpi, gdy nadzieja, ten słaby przewodnik, tak odważny jednak, prowadzi naszą rękę pomiędzy przeszkody i próby, nie dając nam myśleć nawet o opatrzeniu nóg naszych, poranionych cierniami na drodze...

Potem (drugi obraz) widzimy go uchwyconego przez namiętny szal jego sztuki: gra, gra z zapalem, całe jestestwo jego topnieje, łamie się w upojeniu pod tym smyczkiem, co z niebios wykrada pieśń nieziemską, pieśń geniuszu...

Na koniec skrzypce milkną, serce słowika pękło, dosiegając nuty najwyższej, w którą wlał całą miłość swoją, całą duszę swoją... Staw, smutne drzewa, pochylone nad nim, na brzegu strzaskane skrzypce i smyczek porzucony, a tam, pod tą drzemiącą wodą, która tonie w lekkich mgłach wieczoru smutnego i melancholijnego – tam śpi Janko!

Co za porywająca i wzruszająca historia! jaka prosta i straszna zarazem epopeya!*

Otrzymałam od cioci wraz ze skrzynią wszystkie jej zbiory, notatki i wspomnienia, a wśród nich i ten wycinek. Czuję się w jakiś sposób zobowiązana, by upamiętnić ludzi, wśród których żyła. Mieli niebagatelny wpływ na to, jak się kształtowała jej osobowość. Z prostej wiejskiej dziewczyny, odbierającej świat przez pryzmat wpajanych jej od dziecka zasad i wartości, ale też strachów i przesądów, zmieniała się dzięki nim w świadomą siebie kobietę, w człowieka wierzącego i myślącego, kierującego się rozumem, ale i dostrzegającego w życiu tajemne działanie Boga, potrafiącego połączyć w harmonijną całość racjonalność z porywami swego serca i duszy. Zatem to, co oni sobą reprezentowali, nie przeszło bez echa, choć dziś ich nazwiska – w dużej części – nic już nikomu nie mówią.

Czytam artykuły zgromadzone w mnikowskiej skrzyni i przygotowuję się do bardzo trudnego momentu mojej opowieści. Może bym i chciała ten etap pominąć, przeskoczyć, ale nie wolno mi tego zrobić, tak jak w życiu nie da się uniknąć przykrych lat, kiedy

* Pochodzenie wszystkich cytatów zob. Bibliografia, s. 393. Pisownia oryginalna.

wydaje się człowiekowi, że przegrał lub zmarnował życie, gdy musi żegnać odchodzących najbliższych, odczuwa dojmującą bezsilność i zaczyna się zmagać z myślą o własnej przemijalności. Wiem, że niełatwo się o tym mówi i czyta, ale to dojrzewanie do rozstania, do śmierci, jest przecież nieodłączną częścią ludzkiego życia. Aby nie kończyło się ono w udręce i goryczy, poczuciu utraty wszystkiego, musi nastąpić w nim wcześniej etap pojmowania, przyswajania i akceptowania tego, co tak czy owak nadejdzie. Nie wolno mi więc na kartach książki przemilczeć zdarzeń, do których teraz doszłam. Mogę tylko trochę uprzedzić fakty i zdradzić, że Józia przetrwała swój czas smutku, beznadziei i żałoby, by na koniec odzyskać spokój ducha. Bo za każdą, nawet najgęstszą chmurą kryje się przecież błękitne niebo, a zachód słońca jest często piękniejszy niż niejedno skwarne lub deszczowe popołudnie.

STRZASKANE SKRZYPCE

Na placu Matejki, wokół ceglanoego Rondla* i na ulicy Floriańskiej kłębiły się tłumy. Józia musiała stawać na palcach, żeby cokolwiek zobaczyć. A działo się wiele. Czoło formującego się pochodu stanowiła konna banderia krakusów w chłopskich sukmanach i czapkach z pawimi piórami, zaraz za nią postępowali muzycy zespołu Harmonia, przebrani w stroje wojskowe z 1830 roku, potem szedł pluton ochotniczej straży ogniowej w galowych mundurach przepasanych czerwonymi szarfami, wreszcie młode „sokoły”, jak nazywano członków towarzystwa gimnastycznego z ulicy Wolskiej.

* Popularna w tym czasie nazwa Barbakanu.

SPIS ROZDZIAŁÓW

I październik 1863	7
II kwiecień 1917	307
III marzec 1918	339
IV kwiecień 1922	353
Podziękowania	391
Bibliografia.	393